

## Legenda spływu kajakowego

Wiktor Kolasiński

Pochmurny, szary poranek był dosyć zimnawy, choć nie na tyle by uniemożliwić przywdzianie swoich ulubionych krótkich spodenek w palmy. Przez lekko zmrużone oczy typowy przedstawiciel klasy 1A rozpoczął poranny rytuał przebudzenia, w jego głowie powoli odzywały się kolejne myśli, które z cichego szeptu przekształciły się w krzyk. Krzyk ten niósł w sobie przesłanie o dniu pełnym nudy, kolejnych monotonnych chwilach w ukochanej (choć w tym momencie znienawidzonej) szkole. Wiedział, że nie czeka go nic innego przez kolejne 8 godzin jak stres psychiczny i w lekkim stopniu fizyczny po biegu do tramwaju, gdyż ten przedstawiciel klasy 1A zawsze ustawiał budzik 10 minut za późno. Pierwsze obrazy za oknem tego czwartkowego brzasku wskazywały na dość powolny, nudny i ospały dzień. Umysł zmącony tragicznymi myślami, oddałby wszystko za jeden dzień wolnego, jeden dzień pełen przygód. Błagał o niezapomnianą szkolną wycieczkę. Tymczasem kilka kilometrów dalej poranek swój zaczynał typowy przedstawiciel klasy 1C. Przez cały rok szkolny zmuszony był słuchać historii kolegów z klas równoległych o cudownych wypadach szkolnych, cały czas tylko widział zdjęcia wspaniałych wycieczek i uśmiechnięte miny kolegów, w szczególności z klasy 1A, którzy to zdołali wyjechać na nie jedną, a aż dwie wycieczki w odległe strony. Podróżowali bowiem do Łodzi na dzień wypełniony atrakcjami, jak i Gdańska na wypad dwudniowy. Cały ten czas chemfiziątko marzyło o własnej niezapomnianej wycieczce klasowej i ucieczce od szkolnego zgiełku, gmatwaniny kartkówek sprawdzianów, prac i wszystkich obowiązków. W przeciwieństwie do ucznia klasy 1A nasze chemfiziątko jednak nie miało problemu z rozpoczynającym się dniem, dzisiaj nadszedł *ten* dzień, zapisany w kalendarzyku i długo wyczekiwany (ponad tydzień, bo z takim wyprzedzeniem usłyszał o wycieczce), dzień zapłaty i zemsty, dzień ostateczny, dzień kulminacji wszystkich sił wszechświata. Gdy inni musieli zmierzać z mozołem do szkoły, chemfiziątko zmierzało na najlepszą wycieczkę swego dotychczasowego życia. Od tego momentu mógłby nawet zacząć liczyć lata. Nie istniałoby już anno domini, a anno SPŁYW KAJAKOWY. Po zjedzeniu śniadania, spakowaniu ostatnich szpargałów i pocałowaniu mamy na do widzenia, przedstawiciel klasy 1C ruszył z zapalem i zapasem doskonałego nastroju na Dworzec Gdański. Tak się szczęśliwie zdarzyło, że jednym z przedstawicieli klasy 1C byłem ja. Posłuchaj zatem czytelniku mej legendy o męstwie, sile przyjaźni, intrydze i tryumfie dobra podczas spływu kajakowego wartkami i zdradzieckimi pływami Narwi i Wkry. Legendy szerzej znanej na zielonych polach mazowieckich łąk pod nazwą „Sprawozdania ze spływu kajakowego 1C”.

Nasza historia rozpoczyna się punkt 8 na Dworcu Gdańskim w Warszawie. Pan Profesor Kuśmierczyk bystrym okiem skanuje stan kadry wycieczkowej i jest dumny z faktu, iż nikt się nie spóźnia (oprócz jedynie kilku osób, które o swoim spóźnieniu w słowach nieopiewających w ton polubowny usłyszały)! Bilety kupione, koledzy przywitani i uwagi pełne ekscytacji wymienione o nadchodzącej wyprawie były zielonym światłem, by ruszyć na peron kolejowy. Niczym klin nasz szwadron kajakowy przedarł się przez spieszących się do pracy ludzi wysiadających z pociągu i dumnie rozpoczął swe oczekiwanie na środek lokomocji do

destynacji, zwanej Pomiechówkiem. Pan Profesor uroczyście powitał wszystkich i poinformował o konieczności dobrania się w kajakowe pary. Gdy nadjechał nasz pociąg, razem wsiedliśmy i nim się obejrzelśmy, mknęliśmy z zawrotną prędkością pociągu podmiejskiego do Pomiechówka. Na miejscu wsiedliśmy do autokaru i znów mknęliśmy, z drobną jednak przerwą by ujrzeć najbardziej emocjonującą i przerażającą rzecz tego dnia. Zaproszeni do spaceru przez organizatorów, ruszyliśmy niespiesznie do mostu chwiejącego się tak mocno, że mógłby być opisany jako cud inżynierii w pracy doktoranckiej z zakresu inżynierii lądowej. Pod nim ujrzałem go... Coś co mogłem od razu bez problemu nazwać jako „przesmyk grozy”. Było to zwężenie między potężnymi skałami w rzece o które rozbijał się z zawrotną prędkością nurt rzeki tuż pod samiutkim mostem. Z niedowierzaniem patrzyłem jak kolejne fale pokrywają swą potężną masą brzeg przy zwężeniu. Z miejsca wyobraziłem sobie siebie samego żałośnie wydającego ostatnie tchnienie pod tą rzeczną tonią. Chciałbym krzyknąć, by powiadomić mych najbliższych o mej miłości do nich, lecz jedyne co usłyszano by to ciche bulgotanie. Otrząsnąwszy się z tych grobowych myśli, przypomniałem sobie o moich znakomitych umiejętnościach kajakarskich, lecz o nich później. Wysłuchałem instrukcji starego wilka rzeczno tych wód i poczułem przyływ odwagi. Wszyscy wróciliśmy do autokaru i pojechaliśmy w miejsce startowe spływu. Na miejscu krzepcy dżentelmeni usytuowali kajaki na brzegu, otrzymaliśmy kamizelki ratunkowe, spakowaliśmy rzeczy w szczelne worki Jana Niezbędnego (wspaniały naukowiec i wielki chemik, jego przemysłowe metody wytwarzania wytrzymałych polimerów zrewolucjonizowały sposób w jaki dzisiaj wynosimy śmieci). Dalej organizatorzy spływu rozpoczęli przyspieszony kurs władania wiosłem. Lecz ja, wytrawny kajakarz mogłem w tym momencie wyciszyć się przez chwilę i oddać się marzeniom o przygodach jakie mnie spotkają na rzecznej traktacji. Wszakże znam te wszystkie manewry, te kontry, te wodowania, te wsiadania, te naciągania, te hamowania. Wszystko w małym palcu. Na obozach mówili na mnie łosoś, bo w kajaku robiłem te wszystkie manewry i to w górę rzeki. Podobnego zdania był mój kajakowy towarzysz. Przecie co trudnego jest we włożeniu kija w wodę i wyciągnięciu go? W jakimże był błędzie przekonał się po tym jak zamiast mknąć dumnie rufą cały czas do przodu, meandrowaliśmy razem z nurtem oglądając z bliska faunę i florę pobliskich szuwar. Zmotywowani jednak słońcem, które jakby specjalnie dla nas wynurzyło się z chmur opanowaliśmy kajak i raźnie raz po raz zarzucaliśmy wiosłem, a z każdym odepchnięciem dochodziliśmy do większej wprawy. Po kilkunastu minutach zatrzymaliśmy się na krótką przerwę. Odżywiliśmy się porządnie, by dodać sobie sił i przekonaliśmy się o przewadze sandałów nad klapkami podczas spływu. Przy brzegu po wyjściu z kajaka raźnie odstawiłem stopę w wodę spodziewając się delikatnego piaszczystego podłoża. Tak bardzo się myliłem. Moja noga z impetem zapadła się bezkresnie w zdradziecki muł, pochłonął moją biedną kończynę bez litości. Gdyby nie ogrom skoncentrowanej siły nie wyjąłbym jej już nigdy. Muł, który bardziej przypominał paszczę krokodyla, aniżeli bezkształtną brązową masę. Nie zmąciło to jednak mego nastroju i bez cienia zwątpienia w idealność tego dnia płynąłem ze swym kompanem dalej. Nasza kajak z czasem zaczął sunąć niczym drakkar wikingów. Niemała prędkość, siła naszych ramion i gdyby dodać jeszcze topór w dłoń i gęstą brodę można by pomyśleć, iż suniemy plądrować wioski. Ja niczym kapitan bojowo poddawałem rytm dla wiosła i gdyby nagle miał z wodnej czeluści wyłonić się sam kraken, ogromne potworne bydle, prześcignęlibyśmy go. Pewnie by nawet tego dokonał, gdyby nie fakt, że woda miała średnio wysokość sięgającą mi do uda (trzeba zaznaczyć, że jestem

niewysokim człowiekiem). Dlatego zamiast walczyć z głębinowymi potwornościami, naszym wrogiem okazał się kto inny – mielizna. Zdradziecko i zniecka atakowała jak jadowity wąż. Kąsała swym brakiem wody pod kajak i kazała naszej łodzi szukać serum na toksynę w postaci mojej osoby wychodzącej i ciągnącej kajak na głębszą wodę. Oczywiście wiele razy z moim kompanem nie dawaliśmy za wygraną i walczyliśmy z nią długo naszymi wiosłami. Nasze braterskie oddanie i wspólna siła wystarczała nie raz by nawet przemieszczać się po samym piasku przy użyciu siły mięśni i odpychania wiosłami. Gdy jednak dochodziło do tego, że musiałem opuścić kajak i pchnąć go, moje poświęcenie nie poszło na marne. Dzięki mej brawurowej akcji ratowniczej bohatercko wydostałem kajak Pana Profesora z opresji. Mielizna długo nie dawała za wygraną, jednak wierzyłem w siebie i przezwyciężyłem ją. Był to akt niezwykłego heroizmu i miejscowi gawędziarze nadal wspominają o bezimiennym, który wydostał kajak Pana Profesora Kuśmierczyka z tarapatów. Jednak przez zdecydowaną większość czasu nasza przygoda przebiegała spokojnym tempem. Obserwowaliśmy piękne okoliczności przyrody, rozkoszowaliśmy się niebieskim niebem rozpostartym nad naszymi głowami i podziwialiśmy jakie piękne formacje wyrzeźbiły wody Wkry i Narwi. Mogliśmy często odłożyć wiosła i delektować się atmosferą dookoła. Interesujące wydawało się nawet okoliczne dzikie życie. Pływające sielsko kacuszki, wzbijające się do lotu czaple, urocze fioletowe ważki muskające powierzchnie wody i majestatyczny żółw (którego nie było, ale gdyby był na 100 % byłby majestatyczny, w sumie smoków też nie było, ale co przeszkadza nam marzyć?). W międzyczasie pobrałem próbkę wody do chemicznej analizy, jednym z celów naszej wyprawy był chemiczny monitoring wody i dotrzyaliśmy tego punktu wyprawy dzień później podczas kółka chemicznego. Sielanka ta musiała jednak dobiec końca, ujrzałem go. Swego nemezis sprzed paru godzin – „przesmyk grozy” pod mostem. Biłem na alarm jako kapitan łajby, wydałem instrukcje przekierowania nas na prawy brzeg. Adrenalina uderzyła, serce podeszło pod gardło, wiosło spoczywało zaciśnięte w żelaznym pewnym uścisku. Wiedziałem, że to czas próby, woda przyspieszyła, zabójcze skały wraz z nią. Pewnie i stabilnie przekierowywałem nas na właściwy dryf, ciężko walczyłem z wodą, byłem coraz bliżej. Wszyscy wstrzymali oddech, cały świat się zatrzymał, ostatnie sekundy, bliżej i bliżej, woda wyrwała mi wiosło z ręki, czułem ostatki mocy, zarzuciło mnie na skałę, w ostatnim momencie uniknąłem i poczułem mocne szarpnięcie. Udało się, bystry potok wyrzucił nas za mostem. Była to ciężka i trudna walka, nigdy jej nie zapomnę. Nie dałbym rady gdyby nie pomoc mojego wiernego kajakowego kompana. Kolejne odcinki trasy mijaliśmy szybko i z ogromną satysfakcją. Po blisko 5 godzinach kajakowej wyprawy wypłynęliśmy na szerokie połączenie zlewiska Wkry i Narwi. Poraziła nas przestrzeń i bezkres wód, jakże cudowne uczucie temu towarzyszyło, swoiste wyzwolenie. Piękne widoki i szerokie wody były spełnieniem naszych najskrytszych wycieczkowych pragnień. Nie przeszkadzało nawet słońce, któremu byliśmy wystawieni jak na patelni (czego efekty wszyscy odczuwaliśmy w postaci obolałej ale i pięknej skóry kolejnego dnia). Po minięciu obszernych wód, czekała nas nasza przystań, nasza ziemia obiecana pełna chleba i grillowanych kiełbasek. Głodni po kajakowych przygodach spakowaliśmy kajaki, przebraliśmy się i ochoczo zasiedliśmy do wspólnego grilla. Ciepłe mięso, otoczenie przyjaciół i przepiękna pogoda to było to. Chwytałem z tych chwil ile się tylko dało. A dało się dużo. W doskonałych nastrojach ruszyliśmy razem do Twierdzy Modlin umiejscowionej zaledwie parę minut od naszego obozowiska. Dotarliśmy do tarasu widokowego, gdzie zrobiliśmy grupowe zdjęcie. Z tarasu zauroczył mnie jednak spichlerz

Twierdzy Modlin. Wyglądał na ruiny, ale jakże piękne i bajkowe się one zdawały. W mojej głowie pojawiło się mnóstwo myśli czemu te ruiny mogłyby służyć. Mogłoby to być leże jakiejś gadziny rodem z Wiedźmina Sapkowskiego, lecz silniejsza wizja to odrestaurowany spichlerz przerobiony na salę balową. Na rzece przy nim lśniłyby światła lampionów łódek zaproszonych na bal, goście podbijaliby pod nocną poświatą do schodów bezpośrednio schodzących do wody, rzeka wypełniona byłaby mnogością pięknych świateł, wszystkie odbijałyby się od ciemnej toni wody. Z tej romantycznej wizji wyrwało mnie jednak ponaganie związane z koniecznością zdążenia na pociąg. Ruszyliśmy zwartym, marszowym krokiem na stację by ujrzeć jak nasz pociąg odjeżdża. Porzuciwszy wszelką nadzieję i z jedyną myślą, że kolejny pociąg będzie za godzinę Pan Profesor Kuśmierczyk zaskoczył wszystkich, przewidział co do minuty nasze przybycie (w tym spóźnienie) i wiedział, że pojawi się kolejny pociąg za jedynie 10 minut. Wszyscy z twarzami wysmarowanymi słoneczną opalenizną, z ogromnymi uśmiechami i butlami pełnymi świeżej rzecznej wody opuściliśmy Pomiechówek i nim się obejrzelśmy byliśmy w Warszawie. Żegnając się każdy żałował końca tego dnia, lecz obudził w sobie nadzieje na kolejne tak udane wycieczki. I tak kończy się legenda pisana przez uczniów Poniatówki, ile było w niej prawdy, potrafi ocenić jedynie ten, który był przy tych wydarzeniach obecny, jedno jednak jest niepodważalne, to był bardzo dobry dzień, do którego każdy z uczniów 1C wróci w swych wspomnieniach podczas dorosłego życia.